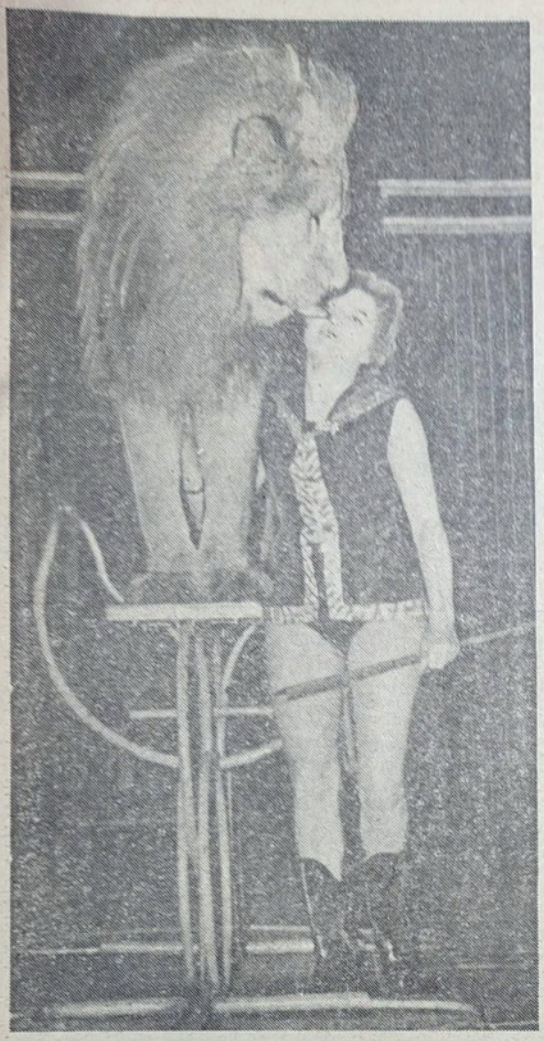

Lwy PANI KRYSI

ONA — to pani Krystyna Terlikowska — pogromczyni. One — to piątka płowych drapieżników. Cztery lwice: Carmen, Gracja, Nera i Greta oraz potężny, odznaczający się wybitną urodą lew — Garbo.

*

JUŻ NA POCZĄTKU KWIETNIA, kiedy dni były jeszcze chłodne i siąpił drobny deszczyk rozpoczął się cyrkowy sezon. Z zimowej bazy w Julinku rozjechały się cyrkowe wozy w różne strony Polski.

Reprezentacyjny zespół Cyrku Wielkiego rozbił swoje namioty w Lublinie. Tu właśnie, na wieczornym przedstawieniu zobaczyłam po raz pierwszy panią Krystynę i jej lwy. Siedziałam tuż przy kracie, odgradzającej widownię od zwierząt i ich treserki. Przyglądałam się pani Krystynie i podziwiałam ją jak uwija się wśród lwów: drobna, niewysoka, opanowana, gestami rozkazująca, co mają robić. Nie słyszałam żadnych pomruków niezadowolenia zwierząt, nie dostrzegłam protestów przy wykonywaniu skomplikowanych ćwiczeń.

„Jak to się dzieje, że dzikie zwierzęta zachowują się na arenie jak dobrze ułożone domowe koty?" — myślałam. Zawsze zdumiewają mnie ludzie, którzy potrafią porozumieć się ze zwierzętami, potrafią je czegoś nauczyć, mają tak dużo cierpliwości, a w wypadku — lwów i tak dużo odwagi...

Kiedy skończył się numer i lwy wbiegły do okratowanego tunelu, prowadzącego do ich wozu — klatki, w której mieszkają; na opustoszałej arenie została sama pogromczyni. Kłaniała się z uśmiechem, a publiczność klaskała i klaskała. Sądzę, że moje oklaski były najmocniejsze...

C. d. na str. 2.

Pani Krystyna Terlikowska i 8-letni lew Garbo porozumiewają się na arenie znakomicie. Treserka jest bardzo zadowolona ze swojego ucznia.

— Mogłabym nawet zapomnieć, jaka jest kolejność ćwiczeń, Garbo nie pomyli się nigdy — mówi.

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 39 (1613) Warszawa, wtorek, 16 maja, 1967 r. Cena 50 gr

WSPÓLNA PRACA — WSPÓLNY GROSZ

● Rzadką specjalność wybrały sobie harcerki 48 Drużyny w Makowcu koło Radomia. Przy pomocy druhny Zofii Żyły zaczęły uczyć się robót szydełkowych. Później nastąpił podział pracy. Lodzia Bukalska i Grażyna Zając robią serwetki na stół, Urszula Odzimkowska — wełniane czapki, Krysia Niewidomska — dziane szkolne kołnierzyki. W ciągu ostatniego roku drużyna zarobiła około 4 tys. zł, z czego 1 tysiąc zł wykorzystała na zimowisko w Warszawie, za 1 200 zł zakupiła adapter i około 30 płyt. Za pozostałe pieniądze harcerki zamierzają nabyć aparat fotograficzny „Start" i wnieść dopłatę do tegorocznego obozu wędrownego.

STEFAN KOJŁO
zdjęcie autora

Lodzia Bukalska, Grażyna Zając i Krysia Niewidomska uważnie śledzą prezentowany przez druhnę Zosię nowy element w dzianiu.

Ciekawe

KÓŁKO I ŚLIMAK

● Każdy zbieracz jadalnych ślimaków w Szwajcarii musi mieć urzędowe zezwolenie, a jednocześnie zaopatrzyć się w kółko o średnicy 35 mm. Jeżeli ślimak zdoła przejść przez ten otwór, podlega ochronie i należy zwrócić mu wolność.

Z ŻYCIA MOZARTA

● Mozart jako 4-letni chłopiec uczył się gry na fortepianie, jako 5-letni zaczął komponować. Mając 6 lat — przygrywał cesarzowej Marii Teresie w jej wiedeńskim zamku Schoenbrunn. W 12 roku życia Mozart skomponował swą pierwszą operetkę.

PRZEZ ATLANTYK

● Pierwszy parowiec, który przepłynął Ocean Atlantycki bez żagli, przebył tę drogę w ciągu 16 i pół dnia (1838 rok).

NIEZWYKŁE JEZIORO

● W rejonie Pietruchowskim okręgu Kurgańskiego (ZSRR) znajduje się Jezioro Niedźwiedzie. Woda w tym jeziorze jest nasycona różnymi solami do tego stopnia, że człowiek może zupełnie spokojnie leżeć na jej powierzchni, czytając książkę lub gazetę.

Foto Franciszek Karasiewicz

A oto największa indywidualistka spośród całej piątki — lwica Greta. Zdecydowanie nie lubi tego spaceru po desce, stosowniejszego dla ptaka niż ważącego ćwierć tony zwierzęcia. Ale cóż... skoro pani każe! Jeszcze kilka kroków i Greta odsapnie na swoim stołku, w języku areny zwanym „tumbą". W nagrodę dostanie od treserki kawałeczek mięsa, zapowiedź większego posiłku.

Okratowany tunel widoczny na zdjęciu to droga do lwiego domu. Po zakończonym programie całe stado pomknie tędy na kolację. Lwy jadają raz dziennie, wieczorem.

— Posiłek jest niemały — mówi pani Terlikowska — osobiście dbam o to, aby mięso dla moich lwów było w dobrym gatunku.

Lwy PANI KRYSI

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Był już późny wieczór, jeszcze kilka punktów programu i przedstawienie zostało zakończone. Publiczność wychodziła z cyrku, artyści udawali się na odpoczynek. Nie śmiałam teraz, wieczorem, zawracać głowy pani Terlikowskiej i prosić ją o wywiad dla „Świata Młodych".

Następnego dnia miałam jechać do Kraśnika. W kieszeni mojego płaszcza tkwił już nawet bilet na PKS, zapobiegliwie kupiony w lubelskim Orbisie. Jechać do Kraśnika, czy zostać w Lublinie, aby osobiście poznać panią Terlikowską? Magia cyrku działa na mnie od lat. Byłam zdecydowana Nie wsiądę do niebieskiego autobusu, lecz rankiem zapukam do drzwi domku na kółkach, w którym mieszka pogromczyni lwów!

Szkoła lwów

MOJE PUKANIE do drzwi obudziło najpierw pieska pani Krystyny. Jest to równy lwom wiekiem 8-latek, mały i czarny Misiek, który nie może pojąć, jak jego pani może lubić kogoś poza nim, szczególnie jeśli ten „ktoś" ma takie wielkie zęby... Gospodyni domu — pani Krystyna — przyjęła mnie bardzo serdecznie. Dowiedziałam się, że ma 14-letniego syna, który czyta „Świat Młodych".

— Otrzymałam moje lewki, gdy były jeszcze niegrożnymi malcami, skorymi do zabawy i figlów — opowiada pani Terlikowska. — Przez kilka miesięcy bawiłam się tylko z nimi i karmiłam je. Małe lwy lubią zabawę. Mój Romek stracił przy tej okazji kilka piłek. Lewki pogryzły mu je zupełnie! Kiedy moje „dzieciaki" dorosły do wieku szkolnego, rozpoczęłam z nimi naukę.

Były to długie i — przyznaję — niełatwe godziny, polegające na indywidualnych lekcjach. Pracowałam dziennie po 8-10 godzin na arenie. Dopiero wówczas dokładnie poznałam psychikę całej piątki. Każde ze zwierząt ma inny charakter, podobnie jak ludzie. Inaczej reagują, inaczej trzeba je uczyć... Jedne brałam więc łagodnością, inne musiałam traktować z góry, czasem nawet skarcić. Taka intensywna nauka trwała 8 miesięcy: Wreszcie mogłam rozpocząć występy przed publicznością. Moje lwy dostały się na afisz!

Gretą, która wykonuje najtrudniejszy numer, bo spaceruje wysoko nad areną po uginającej się desce, spełnia teraz swoje zadanie bez szemrania. Ale nikt z widzów cyrkowych nie wie, ile z nią miałam kłopotu, aby ją do tego przyzwyczaić!... I ona jedna z całego stada nie lubi mnie... Czuję to i chyba to się nie zmieni nigdy. Między nami trwa ustawiczna walka o przewagę. Muszę czuwać, nie wolno mi spuścić oczu z Grety...

Lwia „zabawa"

PRZED CZTEREMA LATY w bazie w Julinku razem z moją grupą zwierząt ćwiczył jeszcze jeden samiec, lew — Cezar. W czasie jednej z prób Cezar zaatakował Garbo — najłagodniejszego lwa pod słońcem. Pobiegłam mu na ratunek. I przewróciłam się, potknąwszy się o tumbę. Wtedy poszły na mnie wszystkie moje wychowanki — lwice. A pierwsza zatopiła zęby... Greta. Trwało to wszystko moment, ale moja noga, w której utkwiły lwie zęby, otrzymała 18 szarpanych ran... Chirurg-plastyk z warszawskiego szpitala pracował prawie trzy godziny, aby mi jakoś udo „zacerować". Nie mogło się to udać całkowicie, bo trudno zapełnić ubytek mięśni... Teraz bandażuję udo, aby przykryć ślady lwich zębów.

— Nie czuła pani strachu, a przynajmniej... niechęci do swojej pracy po takim wydarzeniu? — pytam. — Nie bała się pani wrócić na arenę do lwów?

— Nie, to był przecież wypadek. Pogromca nie może sobie pozwolić na przewracanie się po arenie! Przestaje być sobą i lwy tak to oceniły. A są to zwierzęta, które mają ostre zęby. To był ich odruch, nie złośliwość.

Po kilkunastu dniach opuściłam szpital i wróciłam do swojej piątki. Zostałam przyjęta dobrze. Wkrótce wyjechałam z występami do Czechosłowacji.

Nawet Garbo nie zawsze jest dżentelmenem...

PANI KRYSTYNIE nie pomagał żaden doświadczony treser. Sama opracowała cały program. Układ przygotowanych przez nią ćwiczeń jest bardzo oryginalny i trudny. W Związku Radzieckim, gdzie tresura dzikich zwierząt jest doskonale postawiona, polska treserka zbierała słowa uznania.

— Lwy nie znoszą dotyku człowieka. Aby wsiąść Garbo na grzbiet tak jak na konia, musiałam ćwiczyć pięć lat... — wspomina pani Terlikowska. — Już wydawało mi się, że przełamałam jego niechęć do dźwigania mojego niewielkiego zresztą ciężaru, gdy znów się buntował i zrzucał mnie ze swoich pleców jak narowisty koń! Teraz siadam na niego; może się przyzwyczaił na dobre, a może znów zacznie mnie zwalać? Nigdy nic nie wiadomo, nawet z takim dżentelmenem jak Garbo. A jest on najlepszy z całej piątki. On jeden nie zatopił we mnie swoich zębów, wtedy kiedy zaatakowały mnie jego siostrzyce...

Pokaz tresury lwów w układzie pani Terlikowskiej — pogromczyni z Cyrku Wielkiego — kończy się tzw. żywym dywanem. Wszystkie zwierzęta kładą się na arenie, a pani Krysia usadawia się na ich grzbietach. Wygląda to szalenie efektownie, ale jak bardzo jest niebezpieczne! Każdy z lwów waży ponad 250 kg. i zaopatrzony jest w zęby tak ogromne i pazury tak ostre...

Patrzę na panią Krystynę i trudno mi uwierzyć, że wczoraj wieczorem widziałem ją rozkazującą na arenie królom zwierząt. W jej domku na kółkach jest czyściutko, spokojnie, mały Misiek pochrapuje na swoim kocyku. Dziękuję pani Terlikowskiej za rozmowę i na zakończenie słyszę jeszcze, że zanim została pogromczynią, przez 10 lat wykonywała akrobacje pod wysoką kopułą cyrku...

*

CYRK WIELKI opuścił już Lublin. Może jego namiot otoczony kolorowymi wozami mieszkalnymi znajduje się jeszcze w Łodzi, a może artyści są już w innym mieście? Jeżeli Cyrk Wielki znajdzie się u was, pójdźcie na przedstawienie. Ja napisałam tylko o pani Krystynie, ale wszystkim artystom należą się słowa uznania. A Pani Terlikowska — musicie to wiedzieć — w listopadzie wyjeżdża ze swoją piątką lwów na występy do Stanów Zjednoczonych.

ANNA GRZYBOWIECKA

Pierwszy, pierwsza, pierwsze.

● Pierwszy tulipan wyrósł z ziemi około 60—70 milionów lat temu. Ze znalezionych w skałach z epoki kredowej odcisków wynika, że tulipan nie uznaje ewolucji i nie zmienił się od tamtych czasów ani na jotę.

● Pierwszą rozmowę telefoniczną w Polsce przeprowadzono w Warszawie, w styczniu 1878 r.

● Pierwsze na świecie monety pojawiły się w Libii, w VII wieku p.n.e.

● Pierwsza w historii mennica otwarta została w starożytnym Rzymie, przy świątyni Junony — Monety; stąd pochodzi nazwa — moneta.

● Pierwsze kursy pisania na maszynie zorganizowano w r. 1881 w Nowym Jorku. Spotkały się one z nieprzychylnym przyjęciem wszystkich stowarzyszeń kobiecych. Kobiety uważały bowiem, że pisanie na maszynie to zajęcie typowo... męskie.

Pies — ratownik

● Owczarek należący do jednego z mieszkańców w norweskiej miejscowości Fresland uratował dwoje dzieci od utonięcia. A było to tak: dwaj chłopcy wsiedli do łodzi typu kanoe, która w pewnej chwili wywróciła się. Niefortunni żeglarze znaleźli się w wodzie, obaj nie umieli pływać. W tym tragicznym momencie pies rzucił się do rzeki, chwycił mniejszego chłopca za kurtkę, a starszy uczepił się obroży. W ten sposób cała trójka dotarła do brzegu.

ZEBRANIE KOLEGIUM:

plany na lato

IZNÓW zbieramy się dziś na redakcyjne kolegium w gronie wszystkich Czytelników, którzy naprawdę chcą współredagować swój „Świat Młodych". Poprzednie zadania, jakie postawiłem przed członkami kolegium, wykonaliście na piątkę. Wasze pomysły i uwagi pod adresem gazety staramy się realizować, posłużą one również redakcji przy planowaniu następnego roku szkolnego. Jeśli ktoś z Was w miarę czytania coraz to nowych numerów „Świata Młodych" dojdzie do wniosku, że któryś z jego dobrych pomysłów nie jest uwzględniany, albo jeśli ktoś wpadnie na nowy, świetny pomysł — niech „bombarduje" redakcję listami, nie czekając na specjalne zaproszenie.

Odkąd zaprosiliśmy Was wszystkich do kolegium i otwarliśmy w gazecie Klub Nastolatków, sytuacja na „podwórku nastolatkowym" (jeśli tak można powiedzieć) mocno się zmieniła — na lepsze. Nasz starszy brat „Sztandar Młodych" poświęca coraz więcej miejsca drukowaniu ciekawej wymiany zdań z listów o sprawach żywo obchodzących nastolatków, coraz bardziej rozkręcają się doskonałe radiowe „popołudnia z młodością", nawet w programach telewizji przeznaczonych dla Was — to i owo idzie ku lepszemu (np. sprawę różnych hobby — specjalnych zainteresowań — telewizja podjęła w tym roku chyba ciekawie). Mówię o tym dlatego, żeby przypomnieć, że „Świat Młodych" nie wychodzi na pustyni, działamy wspólnie. Jeśli więc starsze nastolatki (np. te z 10 klas) piszą listy, że nasza gazeta jest dla nich „za młoda", odpowiadam: zgoda, ale tak powinno być! „Świat Młodych" jest „księstwem" 12—15-latków, oni mają w naszej gazecie pierwsze i ostatnie słowo, choć oczywiście trochę młodsi i trochę starsi też nas czytają i na wzajem się lubimy.

Niektórzy czytelnicy proponują czasem, żebyśmy podejmowali pomysły innych czasopism, np. „Filipinki". A po co się powtarzać? Jeśli np. w „Sztandarze Młodych" możecie znaleźć najbardziej fachowe i aktualne informacje p. Waschko o jazie, big-beacie, nagraniach płytowych itp. — nie ma chyba powodu, żeby to samo było w „Świecie Młodych". Bo ten, kogo właśnie te sprawy pasjonują, powinien wziąć do ręki „Sztandar". Żadna gazeta nie zastąpi wszystkich innych, bo to jest niemożliwe, każda ma swój krąg tematów, form (pomysłów) i... czytelników.

Czy zgadzacie się z takim postawieniem sprawy? Jeśli nie — dyskutujmy, może się mylę...

A teraz wielka prośba i nowe zadanie dla wszystkich Czytelników, którzy czują się członkami redakcyjnego kolegium. Właśnie teraz w redakcji planujemy numery na lato, na wakacje. Pomóżcie nam, dla wspólnego dobra. NIECH KAŻDY WYMIENI 3 TEMATY, JAKIE ZAMAWIA DLA SIEBIE W „ŚWIECIE MŁODYCH" NA LATO. O CZYM CHCIELIBYŚCIE CZYTAĆ PODCZAS WAKACJI?

Czekamy na listy. Mam nadzieję, że przyjdą do 25 maja. Na kopercie, lub pocztówce, napiszcie przy adresie uwagę: KOLEGIUM REDAKCYJNE.

REDAKTOR NACZELNY

Foto K. Czapiński

KLUB NASTOLATKÓW

O PALACZACH I „DOROSŁYCH"

MOI koledzy nie rozmawiają o tym, jak zapobiec paleniu papierosów, lecz jakie kto pali „fajki". Właściwie każdy palacz zna kilka mocnych wyrazów. Papieros i brzydkie słowa idą w parze. Wiele się o tym pisze, ale rezultaty są prawie żadne.

A teraz z innej „beczki". Uczniowie starszych klas uważają się za dorosłych.

Kiedyś w szatni słyszałam:

— Mały, zjedź z ławki, nie widzisz, że dorosły stoi!

Tym małym był uczeń klasy II, a dorosłym — uczeń VIII klasy.

Oczywiście najmłodsi długo ubierają się w szatni, ale co im się dziwić, przecież nie dawno wszystko za nich robiła mama. Oni uczą się dopiero samodzielności. Trzeba więc być wyrozumiałym, bo za kilka lat „maluchy" będą się tak samo odnosić do swoich kolegów. (rj)

EWA

KLASA I „STANY"

ZAZDROSZCZĘ tym, którzy piszą, że ich klasy są zgrane. Nasza klasa jest niby zgrana, ale nie wewnątrz...

Są jakby dwie grupy: „burżuazja", i my — III stan.

Ten podział bardzo nam przeszkadza we wspólnym pożyciu. Dziewczęta z „wyższych sfer" chciałyby, abyśmy im usługiwały. I dlatego są u nas często kłótnie. Usługiwały! O, zgrozo!

Moja mama powiedziała, że to, co dzieje się w klasie, jest kolejną turnerią i dulszczyzną i powinnam być ponad to wszystko. Łatwo powiedzieć, lecz trudniej wprowadzić w czyn.

Chociaż mnie to nie tak bardzo przeszkadza, bo jestem z reguły optymistką, lecz moje koleżanki i koledzy skarżą się na ten podział. Może wy znajdziecie na to jakąś radę? (rj).

RITA Z WARSZAWY

ODWAŻNI SĄ WŚRÓD NAS

KTO jest odważny? Poznanianka pisze o wyprawach w Kosmos i słusznie. Kosmonauci są nadzwyczaj odważni.

Wydaje mi się jednak, że nie trzeba sięgać aż tak daleko. Trzeba mówić równocześnie o tych cichych, codziennych bohaterach, narażających swe życie dla ratowania innych.

Weźmy dla przykładu: strażaków. Ciekawam, czy wśród nas znalazłby się taki odważny, co skoczyłby w ogień? Owszem, niektórzy tak, ale czy każdy wdarłby się do płonącego budynku, bo tam została np. kobieta i dziecko?

O tych ludziach zbyt mało się mówi. Wszyscy wiedzą, jak nazywa się kobieta, która pierwsza poleciała w Kosmos. A czy kto z was wie, jakie nosiła nazwisko kobieta, która pierwsza została strażakiem?

Są zawody łączące się wyłącznie z odwagą. Cenię tych odważnych ludzi, bo naprawdę mało jest wśród nas odważnych

ANIA BRUDKOWSKA
Ursus

TO SĄ SZTUCZNE BARIERY

PEWNEGO dnia do naszej wsi przyjechał zespół artystyczny z miasta. Tuż przed rozpoczęciem przedstawienia usłyszałam uwagę jednej „miastowej" z zespołu:

— Ciekawe, czy przed odśpiewaniem „Międzynarodówki" ci z wiochy wstaną z krzeseł?

Rozzłościłam się, ale nic nie powiedziałam. Trudno było mi uwierzyć, że ktoś może mieć takie idiotyczne wątpliwości. Czyżby rzeczywiście wśród ludzi z miasta panował pogląd o ciemnocie na wsi? Przecież wszyscy nie mogą mieszkać w mieście I czy tylko wtedy, gdyby mieszkał w mieście, uważano by go za równego sobie i wykształconego?

Pretensje są po obu stronach, ale bardzo łatwo je zlikwidować. **Bo są to już sztuczne bariery, które dostrzegają tylko ci, którzy chcą je rzeczywiście widzieć.**

„ELA"

LIST DO BOŻENY

PRZECZYTAŁAM Twoją wypowiedź. Wydaje się, że jest w tym wszystkim trochę i twojej winy.

Pamiętaj, nigdy nie należy się dąsać, ani wstydzić z powodu wady wymowy. Czym więcej będziesz rozmawiać, odważnie brać czynny udział w lekcji, dyskutować z koleżankami, tym prędzej przestaniesz się jąkać.

Nowoczesna dziewczyna musi być czynna na lekcji, w szkole i domu. Trzeba odrzucić na bok nieśmiałość.

Zapewniam Cię, możesz być taka, jak inne, ale to zależy wszystko od Ciebie. Człowiek potrafi wiele zrobić, lecz musi twardo dążyć do pokonania przeszkód.

Wszystkiego najlepszego życzy

— „ITA" Z BIAŁOGARDU

OD KLUBU:

Sporo otrzymaliśmy listów w sprawie Bożeny, która czuje się gorsza od innych i nieszczęśliwa, ponieważ się jąka. Zgadzamy się z wszystkimi, którzy z sympatią radzą Bożenie: głowa do góry, weź się w garść, dziewczyno!

TROCHĘ ZA WCZEŚNIE

JA zabiorę głos w naszym Klubie. Dlatego, że nie wszystko jest tak, jak piszą moi rówieśnicy. Bo proszę, w naszej klasie (zaznaczam, że mieszkam w mieście — pod Warszawą) jest wiele dziewcząt ze wsi. I to właśnie one wywyższają się modnym strojem. Stają się aż za modne.

Pewnego dnia moja koleżanka pokazała mi kredkę do powiek. Inne dziewczęta ze wsi często tapirują włosy, malują się i pudrują. Wszystkie jesteśmy w VII klasie, chyba więc za wcześnie moje koleżanki przyjmują „modę miastową" od dorosłych kobiet.

Nie tego też chyba miały się nauczyć będąc w mieście, w szkole. (rj)

„CZARKA"

NAJWIĘKSI PIŁKARZE NASZYCH CZASÓW (2)

Przed nimi drżą bramkarze

Pele (10) podczas meczu Francja — Brazylia potrafił w podskoku wznieść się wysoko ponad dwóch przeciwników.

W miarę doskonalenia gry obronnej, w piłce nożnej coraz trudniej jest strzelać bramki, coraz trudniej też jest być dobrym napastnikiem.

Z całej plejady dobrych i bardzo dobrych napastników największe wrażenie wywarli na mnie swoją fantastyczną grą trzej: Brazylijczyk PELE, Portugalczyk EUSEBIO i Węgier ALBERT. Gdyby ta trójka mogła kiedyś wystąpić razem w jednej linii ataku, dałaby niewątpliwie koncert gry, jakiej dotychczas nikt na świecie nie widział.

Pele — „Czarna Perła" Brazylii

NAJBARDZIEJ błyskawiczna jest kariera Brazylijczyka Pele. 17-letniego chłopca, bardzo zdolnego, ale jeszcze niedoświadczonego piłkarza, kierownictwo reprezentacji Brazylii zabrało na turniej o Mistrzostwo Świata do Szwecji. Był rok 1958. Nie był on wcale przewidziany do składu pierwszej jedenastki, nie bardzo też zamierzał ówczesny trener reprezentacji, Vicente Feola, korzystać z niego jako rezerwowego, ponieważ Pele był jeszcze zbyt młody. Zabrano go na Mistrzostwa Świata po to, aby mógł na meczach najlepszych drużyn coś zobaczyć i czegoś się nauczyć.

Pele oglądał więc mecze swej drużyny z trybun. Brazylia wygrała pierwszy mecz, zremisowała drugi, wygrała trzeci i zakwalifikowała się do ćwierćfinału. Trener Feola nie był jednak zadowolony z gry swego napastnika. Grał on zbyt szablonowo, za co Feola na odprawach mocno krytykował piłkarzy. Po jednej z takich odpraw Pele znalazł okazję do spotkania swego trenera na osobności i poprosił go, aby pozwolił mu chociaż raz zagrać w ataku na jakiejkolwiek pozycji.

— Tak bardzo pragnę zrobić panu przyjemność — dodał zażenowany swoją prośbą.

Feola przycisnął chłopca do swej potężnej piersi i rzekł:

— Poczekaj jeszcze, synu, aż nabierzesz więcej sił, potrzebnych do ostrej walki z europejskimi atletami.

Zdenerwowany jednak niemrawą grą jednego ze starszych zawodników, długo nie ogłaszał składu jedenastki na ćwierćfinałowy mecz z Walią. Przed wyjazdem na stadion wezwał do siebie Pelego.

— Zabierz ze sobą buty — polecił.

I tak rozpoczęła się wielka kariera najlepszego napastnika obecnej doby. Pele strzelił Walii bramkę, przyniosła Brazylii awans do półfinału. Publiczność szwedzka przyjęła czarnoskórego piłkarza ciepło, a nawet serdecznie. W półfinale Brazylia pokonała po pięknej grze Francję 5:2, a Pele zdobył 3 bramki. W finale zwyciężyła Szwecja — również 5:2 (przy czym nasz młody bohater strzelił tym razem tylko 2 gole). Sam widziałem, jak płakał z radości i szczęścia, kiedy jego drużynie wręczano złotą statuetkę Nike nagrodę dla najlepszych piłkarzy świata.

Dwa dni później spotkałem go na lotnisku w Sztokholmie, skąd drużyna brazylijska odlatywała do Rio de Janeiro, a ja do Warszawy. Zbliżyłem się do Pelego i pogratulowałem mu wspaniałej gry.

— Naprawdę uważa pan, że grałem bardzo dobrze? — zapytał. — Trener mówi, że ja jeszcze mało umiem. Gdyby można było grać boso, strzelałbym jeszcze celniej. Do gry w butach nie jestem jeszcze przyzwyczajony...

Byłem zaskoczony skromnością piłkarza, którego już w Szwecji uznano za fenomenalnego, a jeszcze bardziej dlatego, że mimo strzelenia 6 bramek na mistrzostwach świata Pele czuł się nadal rezerwowym swej reprezentacji i razem z masażystą przenosił olbrzymie walizy ze sprzętem...

PELE — to tylko popularny przydomek najlepszego dziś piłkarza świata. Prawdziwe jego nazwisko brzmi: Edson Arantes do Nascimento. Urodził się w małym miasteczku brazylijskim Bauru, w bardzo biednej rodzinie murzyńskiej. Grał w szmaciankę, jak wszyscy Brazylijczycy, w wieku 8-12 lat; ojciec zachęcał go do tego, ponieważ sam kiedyś kopał piłkę. Pele marzył zostać lotnikiem, robił nawet piękne modele samolotów, ale los inaczej pokierował jego życiem. Mając 14-15 lat był najlepszym graczem miejscowej drużyny w Bauru, a jego trener, w porozumieniu z ojcem, postanowił przenieść go do 1-ligowego klubu FC Santos w Sao Paulo.

Mając 16 lat Pele został zawodowcem, mając najlepszego na świecie menażera i opiekuna w osobie swego... ojca, jeszcze długo kierującego losami niezwykle utalentowanego syna.

Wszystko co Pele zarabiał, a zarabiał doprawdy bardzo wiele, oddawał ojcu, a ten gospodarował dochodami z pożytkiem dla całej rodziny. Dopiero po osiągnięciu pełnoletności i zabezpieczeniu dostatniego życia swoim najbliższym, Pele zaczął sam dysponować swoimi zarobkami.

Od 1958 roku rozegrał ponad 66 meczów w reprezentacji, zdobywając dla niej ok. 80 bramek. W swoim klubie FC Santos, w którym gra w dalszym ciągu i nie ma zamiaru go opuścić, ustanowił dwa niebywałe rekordy: pierwszy — strzelił w jednym sezonie 58 bramek w meczach ligowych i drugi — w jednym meczu ligowym, wygranym przez Santos 11:0, zdobył sam 8 goli.

Bramki, o których trudno zapomnieć

NIE ZAPOMNĘ NIGDY bramki zdobytej przez Pelego w finale mistrzostw świata w Szwecji. Będąc pilnowany przez 2 przeciwników, przyjął w okolicach linii pola karnego piłkę na piersi, stojąc tyłem do bramki szwedzkiej. Przyjął ją tak miękko, że zatrzymała się na ułamek sekundy, następnie spadła na podniesione udo, potem na nogę. Niedostrzegalnym ruchem nogi przerzucił ją sobie przez głowę, tuż, tuż nad krótko przystrzyżoną czupryną i w tym samym czasie obrócił się wokół własnej osi, by znaleźć się twarzą do bramki. Zanim zdumieni tym wyczynem obrońcy Szwecji zorientowali się co Pele zrobił i co może dalej zrobić, on — nie pozwalając piłce spaść na ziemię — strzelił wprost z taką siłą, że bramkarz szwedzki nie miał nawet czasu interweniować.

Na następnych mistrzostwach świata, 1962 w Chile i 1966 r. w Anglii, Pele przeżył [illegible] wielkie tragedie. Przeciwnicy, nie mogąc dać mu rady w przepisowy sposób, faulowali go rozmyślnie, narażając na poważne kontuzje. W Chile zerwano mu przyczep mięśnia uda, w Anglii uszkodzono staw kolanowy. Pele opuszczał z płaczem boisko i przez wiele miesięcy pauzował, likwidując skutki niesportowych wyczynów swoich przeciwników.

Mimo tych 2 przerw w swej karierze Pele jest nadal niedoścignionym mistrzem piłki: opanował do

Eusebio lubi w wolnych chwilach pobawić się kolejką elektryczną lub samochodzikami.

Foto — Archiwum

perfekcji technikę, dokładne zagrywki na każdą odległość, główkowanie oraz strzał z obu nóg i w każdej sytuacji.

Ale może ktoś powiedzieć, że bywali lub bywają również inni gracze, którzy mają dobrze opanowane te same elementy gry. To prawda. Jednakże Pele ma jeszcze coś, co go stawia zdecydowanie ponad wszystkimi rywalami, a mianowicie zimną krew. Jego zaś sposób poruszania się po boisku jest typowy raczej dla kota, niż dla człowieka. Potrafi przeprowadzić piłkę przez boisko, nie dając się nawet dotknąć przez atakujących go przeciwników.

Nie wierzyłem, gdy ktoś opowiadał mi, że Pele potrafi sam wygrać mecz dla swej drużyny, dopóki naocznie nie przekonałem się, że tak jest naprawdę. W meczu Francja-Brazylia (2:3) Pele strzelił wszystkie 3 bramki, nie korzystając z bezpośredniej pomocy kolegów. Jedną z tych bramek zdobył w sposób zupełnie deprymujący przeciwników. Oto poprosił swego bramkarza, aby mu rzucił piłkę, przeprowadził ją następnie przez prawie całe boisko, mijając jednego po drugim Francuzów ruchami węża i już miał strzelić, kiedy złapano go rękami i zatrzymano. Rzut karny Pele wykonał sam; położył zwodem bramkarza w jednym rogu, a skierował piłkę do drugiego. Nie tylko ja, ale i wieksi ode mnie bywalcy boiskowi nie widzieli nigdy czegoś podobnego.

Ale to był właśnie Pele, piłkarz, który nie ma sobie równego na świecie.

Jak pantera

NIE MA W TEJ CHWILI, ale może mieć w niedługiej przyszłości, kiedy drugi czarny fenomen futbolu zacznie się częściej pokazywać na światowych boiskach. Mam na myśli Portugalczyka — Eusebio. Ten również potrafi wygrać mecze dla swej drużyny, co jest tym bardziej godne podkreślenia, że nie reprezentuje ona tej klasy, co Brazylia i ma więcej słabych punktów, niż silnych. Eusebio gra z elegancją i siłą pantery, dysponuje wieloma walorami Pelego, a jedno — co ujemnie go różni od brazylijskiej „Czarnej Perły" — to słaba umiejętność gry zespołowej. Jest raczej indywidualistą, ale jego indywidualizm przynosi drużynie większą korzyść, aniżeli gra kilku innych zawodników łącznie. Podczas meczu z Koreą, na ostatnich mistrzostwach świata, Eusebio grając okresami sam przeciw 5-6 przeciwnikom, wpadł w trans improwizowania przeróżnych zagrywek, czym wprowadził przeciwników w zdumienie, a publiczność w zachwyt nad tym wirtuozostwem. Korea prowadziła po 22 minutach tego meczu 3:0, jednak dzięki Eusebio, który sam strzelił 4 bramki, Portugalia wygrała ostatecznie 5:3.

„Przed nim drżą bramkarze"

Jeżeli wspomnialem, że Pele strzela niezwykle precyzyjnie, to przy Eusebio trzeba raczej użyć określenia „niezawodnie". Nie ma bowiem pozycji strzałowej, której Eusebio nie wykorzystałby. Na przykład rzuty karne strzela zawsze w to samo miejsce (prawe okienko bramki), ale tak silnie, że bramkarz nie zdąży wyskoczyć, mimo iż nawet wie gdzie skierowana będzie piłka. W barwach Benfici zdobył z tak bitych karnych kolejno 38 bramek, nie pudłując ani razu. Potrafi „nieść piłkę" na nodze w pełnym biegu, potrafi też „turlać" ją, dotykając tylko podeszwą buta. Prowadząc piłkę, jest zwinniejszy od Pelego. Na treningu ćwiczy często 3 piłkami równocześnie, a wtedy nie trzeba chodzić do cyrku, by zobaczyć żonglerkę w najlepszym wydaniu.

Na 2 dni przed półfinałowym meczem z Anglią wyszedł z kilku kolegami z drużyny na spacer ulicami zachodnich dzielnic Londynu. Grupka angielskich kibiców otoczyła graczy portugalskich, prosząc o autografy. Na podpisywaniu notesików zeszło im kilka minut. Koledzy ani się obejrzeli, jak Eusebio odłączył się od nich, ale szukać go długo nie było trzeba. Grał z małymi chłopcami w piłkę, czarował ich swoimi trickami, cieszył się wraz z nimi, jakby był ich rówieśnikiem, jakby wracał myślą i ciałem do rodzinnego Mozambiku.

„Bądź dobrym, Eusebio"

URODZIŁ SIĘ tam jako syn biednego robotnika i nie zaznał słodyczy chłopięcego życia. Po przedwczesnej śmierci ojca mały Eusebio da Silva Ferriera biedował wraz z siedmiorgiem rodzeństwa, któremu matka nie była w stanie zabezpieczyć znośnego chociaż życia. Ale nawet w afrykańskim Mozambiku bakcyl piłki jest silniejszy od biedy. Ku zmartwieniu matki uganianie za piłką potęgowało jeszcze jego apetyt.

Któryś z urzędników portugalskich w Mozambiku doniósł zarządowi Benfici w Lizbonie, że zauważył naturalny talent piłkarski i że trzeba zainteresować się tym chłopcem, zanim ktoś inny nie zabierze go do Europy. I tak przed 6 laty Eusebio zostawił matkę oraz rodzeństwo i wyjechał do Lizbony z matczynymi słowami pożegnania:

— Bądź, Eusebio, dobry dla wszystkich, a zło będzie ciebie omijać.

Po kilku tygodniach treningu w Benfici Eusebio grał już w finale klubowego Pucharu Świata z Penarolem Montevideo i strzelił swoją pierwszą bramkę dla nowego klubu; jako 19-letni chłopiec zadebiutował w reprezentacji Portugalii.

Rzadko się zdarza, aby nie strzelił w meczu, w którym gra. W mistrzostwach świata w Anglii zdobył ich 7, w eliminacjach przed wyjazdem do Londynu 6, na meczu Jugosławia — Reszta Świata strzelił ich aż 4. Największy sukces w jego dotychczasowej karierze — to finał Pucharu Europy 1962 r., w którym faworyt Real Madryt, mimo prowadzenia 3:0... przegrał dzięki wspaniałej grze i strzałom Eusebio — 5:3.

Murzyn z Mozambiku jest o 2 lata młodszy od Pelego (ma 24 lata), zatem i szczyt swej wspaniałej kariery ma jeszcze przed sobą.

Dziennikarz — piłkarzem

OSTATNIEGO SŁOWA nie powiedział również trzeci z naszych bohaterów, Florian Albert z Ferencvarosu Budapeszt. Zaliczam go do trójki najlepszych napastników ze względu na jego nadzwyczajny talent, technikę równą Pelemu i Eusebio oraz na niezwykle wyczucie sytuacji na boisku i umiejętności w kierowaniu akcjami swoich kolegów na boisku. Albert jest większym strategiem i taktykiem, niż Pele czy Eusebio, tylko nie lubi walczyć ostro o piłkę, ponieważ jest delikatnej budowy ciała i bardzo boleśnie odczuwa starcie z przeciwnikami. Często też zniechęca się w grze, jeśli nie znajduje zrozumienia u partnerów dla swych improwizowanych zagrywek.

Pochodzi z Budapesztu i jest z zawodu dziennikarzem. Na wielkiego gracza wyrósł w Ferencvarosie, przechodząc kolejno wszystkie szczeble wtajemniczenia piłkarskiego — od ucznia, poprzez trampkarza i juniora do reprezentacji Węgier, w której zadebiutował, mając 17 lat. Było to na meczu z Anglią, wygrany 2:0, dzięki 2 celnym strzałom Floriana. Dziś ma za sobą 24 lata, 55 meczów w reprezentacji i 35 bramek w barwach narodowych.

A przed sobą — wielką przyszłość i okazję całkowitego dorównania dwóm poprzednim fenomenom boiskowym, postrachem bramkarzy, Pelemu i Eusebio.

G. ALEKSANDROWICZ

Foto — Archiwum

Florian Albert prezentuje trójkę asów — najlepszych jego zdaniem napastników: Pele — Eusebio — Asparuchow. O Albercie przeczytacie w tekście.

Kiedy sędzia gwiżdże?... (5)

NIE PODSTAWIAJ „STOŁECZKA"

Zawodnik w pasiastej koszulce wyskoczył do lecącej wysoko piłki i odbił ją głową w zamierzonym kierunku. Opadając na ziemię, wylądował najpierw na plecach przeciwnika, a następnie przygniótł go ciężarem swego ciała do ziemi.

Publiczność przyjęła to starcie zawodników objawami niezadowolenia, niektórzy młodzi chłopcy zaczęli nawet gwizdać i krzyczeć „brutal" pod adresem gracza w pasiastej koszulce.

Sędzia gwizdnął, podbiegł do leżących na ziemi zawodników, coś tam mówił do gracza w białej koszulce i nakazał rzut wolny pośredni przeciw drużynie „białego". Czy słusznie?

Na pewno tak! Wbrew pozorom gracz w pasiastej koszulce nie popełnił żadnego wykroczenia i nawet gdyby trochę poturbował przeciwnika, nie byłby temu winien. Zawinił natomiast „biały", który widząc opadającego na ziemię przeciwnika, schylił się pod nim, aby w ten sposób spowodować jego upadek na plecy lub na głowę; więc słusznie został przez sędziego ukarany. Takie rozmyślne pochylenie się pod przeciwnikiem, nazywa się popularnie „stołeczkiem" i jest dość niebezpiecznym, ale i często spotykanym wykroczeniem na boiskach. Zwłaszcza wśród początkujących graczy, którzy sami może jeszcze nie przekonali się na własnej skórze, jak bolesny bywa taki upadek.

nauka i nauczka

Napisał ANTONI BŁAŻEJEWSKI. Rys. M. TEODORCZYK (2)

PO TYM WSZYSTKIM brat załamał się. Nie wiem, czy z poczucia winy, czy na skutek docinków matki, lecz od razu i bez reszty zniechęcił się do palenia. Powiedział, że to świństwo i nie chciał ani mówić, ani słuchać o tytoniu.

Ja nie zraziłem się. Brnąłem dalej. Ale teraz w tajemnicy i przed nim. Uległem wkrótce kusicielskim wpływom starszego ode mnie o parę lat sąsiada. Nazywał się Włodek, ale z powodu ciemnej cery i kruczoczarnych włosów przezywany był wśród kolegów „Murzynem".

Ten palił! To nie było palenie, to było pełne błogiego zapamiętania się spożywanie dymu, niczym jakiejś arcysmacznej potrawy.

Najpierw jego mięsiste wargi wysysały z papierosa duży ładunek dymu, później się rozchylały tak, że widać było w odsłonionej jamie ustnej biały kłębek, który po chwili, jakby pociągnięty od tyłu znikał w otchłaniach dróg oddechowych. Wargi wówczas zamykały się, a z kolei rozszerzały dziurki nosa, przez które rozrzedzony nieco dymek spływał wolno i długo. Murzyn w tej chwili przymykał oczy, a cała twarz jego rozanielała się, wyrażając rozkosz i błogość.

Palił po mistrzowsku. Samo patrzenie na to sprawiało przyjemność. Ale często nie miał co palić. Był wtenczas markotny i niezadowolony. Na moją nieśmiałą uwagę zrobioną pewnego razu, że przecież bez tego można się obejść, odpowiedział smętnym spojrzeniem człowieka ciężko doświadczonego i głęboko westchnął:

— Nie można. To nałóg.

Już nieraz słyszałem o nałogu. Intrygował mnie. Jak to jest, że musi się robić to, czego się nie chce? Pragnąłem sam doznać na sobie takiej zniewalającej siły.

Pewnego razu wziąłem z pudełka ojca sporą szczyptę tytoniu i wyniosłem Murzynowi do ogrodu. Bardzo się ucieszył. Wyciągnął z kieszonki parę listków pomiętej bibułki i skręcił grubego papierosa. Usprawiedliwiłem się, że to tytoń fajkowy i może nie nadaje się na papierosa. Murzyn nic nie mówiąc zapalił. A gdy wyciągnął haust dymu, przymykając swoim zwyczajem oczy, i wypuścił go nosem, rzekł:

— Mleko.

Minę miał rozanieloną więcej niż zwykle. Byłem zadowolony z aprobaty mistrza i odtąd zacząłem dostarczać mu tytoń regularnie. Sam też paliłem w jego towarzystwie, czułem jednak, że to mi jakoś nie wychodzi. Wciągałem dym do ust i wypuszczałem, nie odczuwając nic prócz goryczy na języku. Powiedziałem o tym Murzynowi.

— Bo się nie zaciągasz — rzekł krótko.

— A jak to się zaciąga?

— Zwyczajnie. Dym się połyka.

Wciągnąłem sporą porcję dymu i przełknąłem go. Skutek był nieoczekiwany: dym gwałtownie wyleciał nosem, a do gardła dostała się gorzka ślina. Kichnąłem zdrowo raz i drugi. Spojrzałem na Murzyna z wyrzutem, ale on nie zwracał na mnie uwagi, zdawał się być pochłonięty swoją czynnością. Przy pożegnaniu dodał mi jednak otuchy:

— Nie martw się. Nauczysz się, nie wszystko od razu, trochę cierpliwości.

Uczyłem się cierpliwości i przynosiłem mu regularnie tytoniową daninę. Pewnego dnia Murzyn zaczął się przechwalać, że potrafi najpierw zaciągnąć się, następnie coś przegryźć, przełknąć i wypuścić dym. Wyraziłem wątpliwość. A on jakby czekał na to.

— Nie wierzysz? — zdziwił się. — Zaraz ci pokażę. Kup paczkę herbatników.

To było ciekawe. Przyniosłem herbatniki i zaczął się popis. Murzyn wciągał dym, zjadł jednego herbatnika i wypuścił dym nosem. Później zjadł dwa herbatniki i dym znów wyszedł cienką smużką z rozchylonych warg. Po trzech herbatnikach nastąpiło to samo, tylko warstwa dymu była znacznie rzadsza, a po czterech zaledwie błękitny jego ślad ukazał się w dziurkach nosa. Takim sposobem zjadł wszystkie dziesięć herbatników i patrzył na mnie triumfująco. Byłem oczarowany. Ale jednocześnie poczęła we mnie kiełkować niechęć do niego, że przecież, skoro tak dobrze wszystko potrafi, dlaczego mnie nie nauczy.

Po sztuce z herbatnikami nastąpiła jeszcze jedna. Kazał mi przynieść paczkę pierników i flaszkę lemoniady: będzie jadł, zapijał i wypuszczał dym. To już przekraczało moje możliwości finansowe, a i ojciec niedawno wyraził zdziwienie, że mu tytoń za prędko wychodzi. Zapożyczyłem się jednak u brata i dostarczyłem materiał do eksperymentu. Murzyn z powagą zabrał się do dzieła: palił, jadł, popijał, a dym wypuszczał ustami i nosem. Ale po zjedzeniu czterech pierników na raz i wypiciu reszty lemoniady dymek był tak nikły, że zakwestionowałem sztukę.

— Teraz nie było dymku — zgłosiłem reklamację.

— Jak to nie było? — oburzył się Murzyn. — Kłamiesz.

— Nie kłamię.

— Kłamiesz!

Zanosiło się na poważną sprzeczkę.

— Przynieś jeszcze jedną paczkę pierników i lemoniadę — zadysponował Murzyn — przekonasz się.

Nie miałem ani chęci, ani pieniędzy.

— Dosyć — powiedziałem stanowczo — tylko wyłudzasz ode mnie tytoń, pierniki i lemoniadę, a niczego mnie nie nauczyłeś. Już ci nic nie będę przynosił, ojciec tytoń zamknął w szufladzie. Skończyła się zabawa.

Murzyn nie oczekiwał takiego obrotu sprawy. Był wyraźnie zaskoczony, spojrzał na mnie złym okiem. Splunął na stronę.

— Nie, to nie — rzekł, udając obojętność. Wsadził ręce do kieszeni i, spoglądając gdzieś na wierzchołki drzew, zaczął pogwizdywać melancholijnie. Naraz, jakby się ocknął z zadumy, rzekł:

— No, niech tam. Pokażę ci jeszcze jedną. Czegoś podobnego nawet w cyrku nie zobaczysz. Na całe życie zapamiętasz. Puszczę dym oczami.

Złagodniałem od razu. To rzeczywiście było coś niesłychanego. Ale czy mu się uda? Murzyn skręcił nowego papierosa i zapalił.

— No — rzekł — ściśnij mi nos, żeby dym nie uszedł przez dziurki. Ścisnąłem go za ten kartofel, ale zaraz z krzykiem puściłem i odskoczyłem jak oparzony. Murzyn przytknął mi rozżarzony papieros do nadgarstka. Cofnął się teraz o parę kroków i rechotał jak żaba.

— A co, nie mówiłem, że popamiętasz?

Był wstrętny. Tak obrzydliwy, że nie mogłem na niego patrzeć. Bez słowa zawróciłem i pobiegłem do domu.

Honor wprawdzie nakazywał odpłacić pięknym za nadobne i to natychmiast, ale zawód i bolesna kpina, jakiej doznałem na ostatku, obudziły we mnie poczucie głębokiej krzywdy i takiego żalu nad samym sobą, że łzy zaszkliły mi oczy. Uciekłem z pola walki jak tchórz. Była to ucieczka nie tylko od Murzyna. Była to ucieczka i od zamiaru palenia. Wstręt do mistrza wywołał wstręt i do jego sztuki. Już nigdy więcej nie próbowałem palić i nie tylko bez zazdrości, lecz z niesmakiem i pogardą patrzyłem, jak „morowi" chłopcy wydzierają sobie nawzajem wspólnego papierosa.

EKRAN ŚWIATA MŁODYCH

NOC PEŁNA SZALEŃSTW

JUŻ WKRÓTCE będziecie się śmiać na nowym polskim filmie, przeznaczonym specjalnie dla was. Film nosi tytuł „Zwariowana noc" i jest dziełem reżysera Zbigniewa Kuźmińskiego. Fabuła osnuta jest na wydarzeniach ostatniej wojny. Akcja rozgrywa się w ciągu jednej tylko nocy w pewnym zamku i obfituje w sytuacje zarówno dramatyczne jak i komediowe. Głównymi bohaterami „Zwariowanej nocy" są m.in.: 6-letni Krzyś oraz wasz ulubieniec „pancerniak" Janusz Gajos, jako słowacki partyzant Stanko.

STANKO I INNI

W ZAMKU byłej baronowej ukrywa się przed Niemcami trzech partyzantów: Węgier, Polak i Słowak. Pomaga im jak może służba pałacowa, która mimo wojny nie opuściła domostwa swego dziedzica. Ale do pałacu wkraczają nagle Niemcy. Ukryci na baszcie partyzanci wydawałoby się wpadli w pułapkę. Dzielny Słowak Stanko postanawia za wszelką cenę ratować swych towarzyszy i siebie. Nie byłoby jednak komedii, gdyby Stanko i jego kompani nie mieli zaskakujących i niespodziewanych przygód. Jesteśmy świadkami różnych perypetii partyzantów, ich spotkań z Niemcami, ucieczek, pogoni, mylenia śladów, bijatyk, forteli... Sekunduje im w tym dzielnie mały chłopiec Krzyś, który właściwie tylko przeszkadza i komplikuje coraz bardziej sytuację. Ale Stanko daje sobie świetnie radę. Wszystkie dramatyczne sceny potrafi rozstrzygnąć na korzyść i wyjść cało z każdej niemiłej przygody. Stanko jest zwinny, szybki, przebiegły, odważny. I jest nam bardzo bliski, bo współczesny, działający nie w świecie historycznych intryg i legendarnych zamachów jak: „Fanfan Tulipan", „Zorro", czy „Kapitan Fracasse" — ale w czasie nie tak bardzo odległej przecież II wojny światowej, która do dziś jest dla wszystkich tematem żywym i wciąż aktualnym.

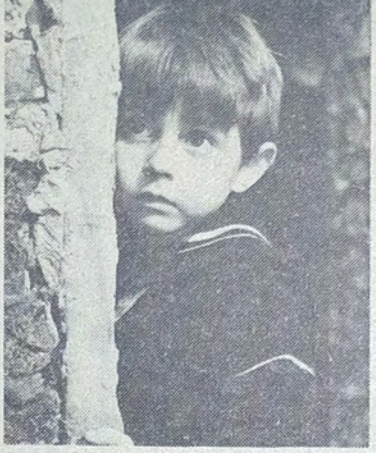

Mały Krzyś był sprawcą wielu nieprzewidzianych i skomplikowanych sytuacji.

ZESPÓŁ „MORTALES" W WALCE Z NIEMCAMI

W „ZWARIOWANEJ NOCY" jest mnóstwo bezpośrednich bijatyk z Niemcami, zarówno partyzanci jak ich wrogowie przerzucają się wspólnie ponad głowami, skaczą jeden na drugiego z dużej wysokości, koziołkują, zrzucają w przepaść, przeskakują przez balustrady, balansują po cienkich gzymsach, wspinają na balkony, okna...

Nie każdy aktor posiada tak wspaniałą zaprawę i kondycję fizyczną do tego rodzaju scen. Zresztą nie musi. Są przecież akrobaci, którzy zawodowo trudnią się rozmaitymi ewolucjami. Właśnie w „Zwariowanej nocy" niektórzy aktorzy, grający Niemców, a także i trzej partyzanci w scenach bezpośrednich bitew mieli dublerów w osobach naszego słynnego zespołu „Mortales" (znani z krajowych występów, a także z ostatnich sukcesów w paryskiej „Olimpii").

Zespół „Mortales" wywiązał się z zadania na piątkę. Jeden z nich dublował nawet Janusza Gajosa w scenie jego ucieczki po stromym gzymsie.

*

Film „Zwariowana noc" już wkrótce wejdzie na polskie ekrany. Oprócz Janusza Gajosa w roli pozostałych dwóch partyzantów występują aktorzy: Gazdeczka i Karaszkiewicz, a także Bohdan Baer, Mieczysław Stoor, Maria Gella, Barbara Ludwiżanka, Krystyna Sienkiewicz i wspomniany już chłopiec, autentyczny warszawski 6-latek, Piotruś Sot, wybrany do tej roli drogą konkursu z kilku tysięcy zgłoszeń. Scenariusz do filmu powstał na podstawie powieści Natalii Rolleczek. Nim pójdziecie do kina, obejrzyjcie fotosy z tej filmowej Nocy pełnej szaleństw.

ALICJA WIELGOŁAWSKA
Foto: ZRF „Iluzjon"

Trzej bohaterowie filmu. Partyzanci: Polak, Słowak i Węgier. W środku nasz dobry znajomy Janusz Gajos.

CZY WIATR DMUCHA, CZY DESZCZ CHLUSTA
CZY JEST ZIMNO, CZY GORĄCO —
GDY PIOSENKĘ MASZ NA USTACH,
DOJDZIESZ WSZĘDZIE ŚPIEWAJĄCO.

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

WYCIECZKA

Chłopcy z zastępu „Żubrów" umówili się, że zbiorą się punktualnie o godzinie ósmej na dworcu kolejowym, aby pojechać na wycieczkę.

Jurek i Wacek nie byli jednak punktualni, bo zegarki chłopców szły źle.

Jurek sądził, że jego zegarek spieszy się 20 minut. W rzeczywistości zegar pośnił się 10 minut.

Wacek natomiast przypuszczał, że zegarek jego spóźnia się 10 minut. Wacek pomylił się. Zegarek jego w rzeczywistości spieszy się 5 minut.

Zgadnijcie, o której godzinie przyszli chłopcy na stację?

Rozwiązania należy przysyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej lub kopercie: „Spróbuj rozwiązać".

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

UWAGA! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

KTO WYLOSOWAŁ NAGRODY PZU?

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 33

Hasło: TYDZIEŃ KULTURY NA JEZDNI.

Nagrody wylosowali:

Budzik: Henryk Kuryś — Siedliszcze n/Bugiem.

Piłka do siatkówki: Urszula Szczęśniak — Rzutów 19.

Kometka: Krystyna Baryła — Przemyśl.

Kompas: Waldemar Derewońko — Anusin.

Książki: Jan Borek — Nowa Jastrząbka; Ryszard Chudzik — Sulików; Teresa Helak — Rosko; Krzysztof Kobza — Warszawa 22; Irena Ostrouch — Gdańsk - Oliwa; Aleksandra Polakowska — Sól-Kiczora 256; Tadeusz Pietrzak — Grajewo; Krystyna Świątek — Rudka; Janusz Soroka — Tyszowce; Danuta Tomczyk — Wojciechów.

DYREKCJA PAŃSTWOWEGO LICEUM TECHNIK PLASTYCZNYCH

w Nowym Wiśniczu, ul. Grunwaldzka 153, tel. 4, pow. Bochnia, woj. Kraków

OGŁASZA WPISY
na rok szkolny 1967/68, na dział

CERAMIKI ARTYSTYCZNEJ I TKACTWA

Przyjmowani będą absolwenci i absolwentki po 8-klasowej szkole podstawowej, w wieku 14—16 lat, na podstawie egzaminu wstępnego stwierdzającego uzdolnienia plastyczne kandydatów z rysunku i sprawności technicznej oraz egzaminu wstępnego z języka polskiego i matematyki.

Okres nauki — pięcioletni. Uczniowie uzdolnieni otrzymują stypendium. Internat na miejscu.

Ukończenie Liceum daje prawo wstępu na wyższe uczelnie.

Wpisy przyjmuje sekretariat Szkoły, codziennie od godziny 8 do 15, do dnia 12 czerwca br.

Do podania o przyjęcie należy dołączyć: odpis metryki urodzenia, potwierdzony przez szkołę lub zakład pracy, świadectwo ukończenia klasy ósmej szkoły podstawowej lub zaświadczenie o uczęszczaniu do klasy ósmej, życiorys, opinię kierownika szkoły podstawowej, zaświadczenie o stanie majątkowym rodziców, zaświadczenie o zatrudnieniu rodziców oraz prace domowe kandydata (rysunek, rzeźba).

Termin egzaminu wstępnego zostanie podany w indywidualnych zawiadomieniach.

K-1421

NASI CZYTELNICY PISZĄ O SWOIM HOBBY

MORZOKSZTAŁTY

UTARŁO SIĘ powiedzenie: „Morze bogaci i żywi". Morze stanowi również potężny basen przyrodoleczniczy, turystyczny i wypoczynkowy. Morze poza tym przez swój majestatyczny urok stanowi temat i natchnienie w sztuce. Występuje w literaturze, malarstwie, poezji, muzyce, fotografice itp.

To wszystko znacie, ale na pewno nie wszyscy wiecie, że morze jest poza tym artystą. A było to tak:

— Tatuś, tatuś — woła Janusz — popatrz, jaka śliczna sarenka! Podniósł wypolerowane przez morze drewienko. Rysiek znalazł „odrzutowca". W drodze powrotnej ze spaceru wzdłuż wybrzeża, mieliśmy sporo tych drobiazgów. W domu urządziliśmy wystawę. Była wspaniała. Podobała się wszystkim.

Po każdym spacerze rosła ilość eksponatów. Poszczególne drewienka zestawione ze sobą tworzyły przedziwne kompozycje. Powstawały całe scenki. Zdecydowaliśmy się wystawić swe „cuda" na wystawie amatorów plastyków w Świnoujściu. Ale rzeźby należało jakoś nazwać. Nie mogliśmy pominąć twórczej roli samego morza. Szybko zdecydowaliśmy: „Morzokształty". Gorzej było z nazwą poszczególnych eksponatów, które w swej abstrakcyjnej formie najczęściej były wyrazem myśli czy symbolu. Każdy dopatrywał się czegoś innego. Stąd też powstała nazwa pierwszej wystawy „Kwestia w obraźni".

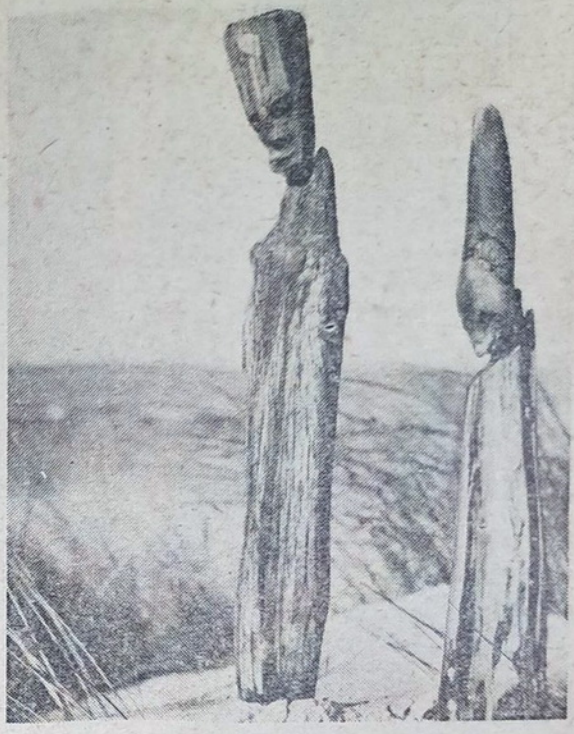

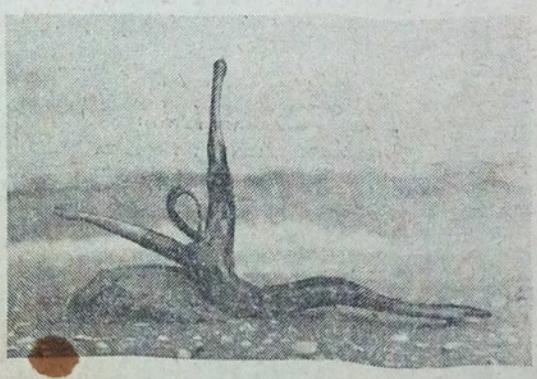

Dalsza kariera „Morzokształtów" była błyskawiczna. Powędrowały na wystawę do Zamku w Szczecinie. Wkrótce były wystawione w Warszawie w Urzędzie Rady Ministrów, a następnie w Kordegardzie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Tu wystawiliśmy je w ugrupowaniu pt. „Nigdy więcej wojny".

Dziś, po pięciu latach przyjaźni z morzem jako artystą, mamy poza sobą dziesiątki wystaw. Nasz album pełen jest ciekawych wypowiedzi i wycinków z prasy. A oto co pisze Informator Kulturalny DOMU CHŁOPA w Warszawie o wystawie, którą tam urządziliśmy: „Morzokształty" to wynik spotkania dwóch żywiołów — siły przyrody i pasji twórczej człowieka. Która z tych sił ma większą zasługę, trudno stwierdzić nieomylnie".

My cenimy sobie szczególnie to przypadkowe spotkanie i zaprzyjaźnienie się z morzem-artystą. W poszukiwaniu „Morzokształtów" przeszliśmy trasę ze Świnoujścia do Kołobrzegu. Urok wybrzeża zachęca do dalszych wypraw. Morze, jak gdyby wdzięczne nam za odkrycie dotychczas nie znanej jego roli, obdarowuje nas szczególnie hojnie, nie tylko swymi tworami, ale również rozbudza i stale wzbogaca naszą wyobraźnię, przeradzającą się w pasję.

Udało nam się też zgłębić tajniki morza jako artysty. Przyjęło ono nieco inną taktykę niż człowiek. Pochlania razem z walącymi się w fale sztormu kilami statków wiele drzew kurczowo broniących się do ostatniej chwili. Ich powyginane korzenie, gałęzie, pnie i konary, uformowane przez stale zmienne wiatry, tworzą przedziwne kształty. To jest ten pierwszy etap twórczości. Zabiera morze w swe fale już wstępnie uformowane kształty. Potęgą sztormu łamie je i obdziera z kory, wypłukuje miękkie części. Szlifuje nieustannym ruchem fal o dno morza. Nasyca solą, utrzymując je na swym dnie często dziesiątki lat. Wyrzuca je na brzeg i znowu zabiera, wreszcie gotowe pozostawia na plaży. Wirujące piaski szlifują te drewienka aż do idealnej gładkości. Słońce i słota nadaje im oryginalnej, wypłowiałej barwy. Teraz już tylko nęcą wrażliwe oko człowieka. Wystarczy je podnieść. Odciąć, co niepotrzebne, dodać, co dodaje uroku, i w ten sposób uzyskać gotowy „morzokształcik".

Janusz, Rysiek i Stanisław TYCHAWSCY
Świnoujście,
ul. Sienkiewicza 8

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA – ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK tel. 21-15-81. Sekretarz redakcji – 28-22-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa" WARSZAWA ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Warszawa ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.09, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 – Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa ul. Wronia 23 – do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 603. T-44.

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24